

QIVITTOQ

Sandnæs, Grenlandia Zachodnia

8 listopada 2014

Zawsze czuł się samotny, ale nigdy tak bardzo jak teraz. Jego spojrzenie przesuwało się badawczo po rozsianych wokół rowach, kopcach ziemi i kamiennych przyrmach, które kilkaset lat wcześniej były domami normańskiej osady Sandnæs.

Tuż obok niego znajdowały się pozostałości dawnej studni, a dookoła nich grubą warstwą ścielił się śnieg, biały i nienaruszony.

Sięgnął ręką za siebie i oparł się o cembrowinę. Kamienie były nierówne, ale w przeciwieństwie do pozostałych zabudowań dawnej osady duża część studni wciąż tam stała.

Czarna paszcza głębi pochłaniała światło i wołała go do siebie. Tęsknił za życiem pod ziemią, za korytarzami i ciemnością. Ale nie tutaj. To miejsce nie należało do niego, a pod ziemią nie było nic.

Gdzieś nad nim krótko, głucho zakrakał kruk. Przeleciał tuż obok jego głowy i skierował się w stronę wznoszącej się za ruinami góry. Pozostałe kruki odpowiedziały mu ze swoich kryjówek w górskich szczelinach i uskokach. Tam, wysoko, leżał gęsty śnieg, szczeliny w białych ścianach przypominały zmęczone, ziejące

pustką oczy. Gapiły się tym tępym wzrokiem na fiord długo przed pojawieniem się człowieka. Obserwowały, jak przychodzą i odchodzą kolejne epoki lodowcowe, czuły, jak mróz wbija się w nie klinem i rozsadza je na części. Duże bloki skalne odrywały się od nich z bolesnym lamentem.

Nagle za jego plecami zaskrzypiał śnieg.

– Erik? – szepnął i uśmiechnął się do siebie, a jego sztywny rudy zarost rozsunał się, obnażając żółtawe zęby. Uśmiech pojawił się także w oczach, rozjaśniając ich niebieską barwę.

Zaczynała zapadać ciemność, najgęstsza była tuż przy brzegu, skąd dochodził odgłos kroków.

Niedaleko ukazała się postać idąca wolno między niskimi, pokrytymi śniegiem ruinami.

– Erik? – powtórzył cicho i zmarszczył brwi.

Postać nie przypominała Erika, który był wyższy, znacznie szczuplejszy i miał krótkie czarne włosy. Wyglądała raczej jak jakaś staruszka.

– Kim jesteś? – zapytał. Szorstka cembrowina studni obcierała tył jego ud. – Czekam na Erika Abelsena. Przyszedł tu z tobą?

Postać nie odezwała się ani słowem, szła dalej prosto ku niemu. Nie miał już wątpliwości, że to kobieta, i stwierdził, że nie jest zdrowa. Z jej twarzą było coś nie tak. Miała szarobrazową barwę i była gładka niczym wygarbowana skóra. Wlepił w nią wzrok. W miejscu oczu i ust ziały otwory. Włosy były długie i zmierzwione, nie zauważył nawet śladu brwi.

– Abelsen nie żyje – wysyczała kobieta chrapliwym głosem, niskim i głębokim.

Zrobił krok w tył, jedną ręką chwytając się cembrowiny. Zapadnięte oczy i usta kobiety przywodziły na myśl mumię.

– Erik?! – krzyknął i rozejrzał się na wszystkie strony. Złapał się za usta. Jego krótki, urywany oddech zderzył się z zimną skórą dłoni. – Erik? Jesteś tu? Już wystarczająco długo czekam. – Głos mu zadrżał. – Chcę wrócić do domu. – Potem spojrzął na kobietę i głęboko odetchnął. – Zabiję cię, jeśli mnie dotkniesz.

Stara wymamrotała coś po grenlandzku.

– Wynocha! – wrzasnął wielki mężczyzna. Kropelki śliny rozprysnęły się na jego brodę. – Wynoś się! Mówię poważnie! Zabiję cię!

– Ja już umarłam – odparła kobieta ochryple.

Rozejrzał się dookoła. Kiedy Erik go tu zostawiał, obiecał, że go stąd zabierze. „To potrwa tylko kilka dni – powiedział. – I wrócę. Najpierw ta wrzawa musi się trochę uspokoić”.

Ciemne oczy kobiety lśniły w martwej twarzy.

Spojrzał w nie i zmarszczył brwi.

– To jakaś maska?

W tej samej chwili postać doskoczyła do niego i popchnęła go całym swoim ciężarem. Próbował się jej uchwycić, ale mu się nie udało i powoli przegiął się w tył.

Jego ciało z dużą siłą kilkakrotnie uderzyło o kamienne ściany studni, zanim spadło na błotniste dno, w które się zapadło. Udało mu się znaleźć oparcie dla rąk i podciągnąć do pozycji siedzącej. Podniósł wzrok ku kręgowi światła nad głową. Piekiły go ramię i plecy, które promieniowały bólem od uderzeń o szorstkie kamienie. Ściany dookoła niego były wilgotne, ale niezamarznięte. Mróz nie chwycił jeszcze wystarczająco mocno, żeby zmienić błotniste dno studni w twarde podłoże. Jego oddech tworzył obłoczki pary rozwiewające się w powietrzu. Wymacał mokre kamienie. Były gładkie. Nie istniała żadna droga na górę.

– Halo?! – wrzasnął i z trudem się podniósł. Buty zapadły się w błoto, które sięgało do kolan. Woda przesiąkła przez spodnie. – Halo! Przepraszam, że krzyczałem! Pomóż mi stąd wyjść!

Ponownie obmacał kamienie. Z trudnością wyciągnął z błota jedną nogę obutą w kalosz i próbował ją oprzeć o ścianę, ale cały czas się ześlizgiwała.

– Halo! Pomóż mi!

W jasnym kręgu nad nim ukazała się twarz kobiety. Uśmiechnęła się do niej.

Odpowiedziało mu jej martwe spojrzenie.

– Pomóż mi! – zawołał znowu i położył dłoń na obolałym karku. Utkwił wzrok w jej oczach, mimo że go przerażała.

Teraz, gdy otaczał ją jasny krąg światła, jej twarz wydawała się ciemna.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Qivittoq.

– Qivittoq – powtórzył ze zrozumieniem. – Nie jadłem od wielu dni, jestem bardzo głodny.

– Zeżryj sam siebie – powiedział głos na górze i w gęste, zimne błoto tuż przed jego nogami spadł nóż.

Kobieta zniknęła, pozostawiając za sobą niezmacony krąg światła i ciszy.

Wkrótce ciemność pochłonie fiord i góry, a krąg nad nim zrośnie się z czarnymi kamieniami, które z każdą minutą coraz ciaśniej zwierają się wokół niego.

CIEŃ ŚMIERCI

Nuuk, Grenlandia Zachodnia

16 listopada 2014

Zima przeminęła. Matthew dziwił się, że nastąpiło to tak nagle, skoro dopiero niedawno zaczęła na poważnie przemieniać wszystko w lód i zasypywać śniegiem, pod którym miasto i reszta kraju miały zniknąć aż do maja albo czerwca następnego roku. Mimo to akurat w tym momencie już jej nie było i żarzący się na pomarańczowo blask arktycznego słońca wpadał prosto do salonu.

Słoneczne ciepło otuliło jego nagie ciało, pieszcząc je tysiącem języków i torując sobie drogę do wszystkich otworów od pępka w górę.

Czuł łaskotanie, na które reagował krótkimi szarpnięciami.

Była tam. Tupaarnaq. W tym świetle. Jedną ręką ujęła jego członka, który zaczął rosnać. Dłoń się zacisnęła. Inaczej niż ostatnio, kobieta była naga. Jego mięśnie drżały. Pragnął jej bardziej niż czegokolwiek innego, ale jednocześnie czuł przerażenie.

Próbował zmienić pozycję, ale ciało było jak przyspawane do sofy. Jedynie członek poruszał się w dłoni Tupaarnaq.

Potem go puściła. Rozpłynęła się w tysiącach kolorów. Próbował je chwycić, lecz były zbyt ulotne, rozsypywały się, a potem

ponownie zagęszczały między jego palcami i w jego spojrzeniu. Czuł ich smak. Tych kolorów. Były słodkie. Słone. Pachniały górami letnią porą. Były gładkie niczym skóra lodowca. Żadnych włosów. Wszystko gładkie. Ogolone. Oczyszczone. Czuł jej oddech. Ciepły i zimny.

Wcisnęła go w siedzisko rozgrzanej sofy. Chwyliła jego dłoń i przycisnęła do swojego szczupłego ciała i małych piersi. Jego palce przesuwają się ostrożnie między bogactwem barw, po gęstej ochronnej warstwie tatuaży. Przedstawiały szerokie liście i grube łodygi. Ciemne kwiaty. Trupie czaszki. Taki gęszcz, że nawet najmniejszy skrawek skóry nie pozostawał widoczny.

Te kolory należały do niego. Składały się na nią, stanowiły wszystko, czym była. Kobieta bez skóry. Teraz zupełnie naga, obnażona. Czuł, jak otacza go jej ciepło – głębokie, miękkie i wilgotne. Niczym oddech kogoś trawionego gorączką. Słodkawy i gorący. Jego palce zniknęły w niej, a ona się temu poddała. Oparła się dłońmi o jego klatkę piersiową i usiadła na nim wygodniej, podczas gdy odnalazł drogę do celu.

Jej biodra się kręciły. Liście i kwiaty poruszały się, nagle ożywione. Wytatuowane wyszczerzone czaszki obnażały szeregi białych zębów. Nawet na piersiach jej skóra była gęsto pokryta tatuażami aż po ciemnobrązowe pąki brodawek. Jej ruchy nabrały prędkości. Wpatrywał się w jej czarne oczy. Nie był w niej. To ona tkwiła w nim. Wyrastała mnogością kolorów niczym rośliny przebijające się przez asfalt i rozkwitające. Wewnątrz była jednocześnie gorąca jak ogień i zimna jak lód, a on czuł, że zaraz eksploduje. Nie w postaci wytrysku, to byłoby zbyt proste. Czuł, że jest bliski rozprysnięcia się na kawałki podobnie jak wielkie bryły gór, które, rozłupane przez lód, spadają z hukiem i rozbijają się w drobne kamyczki, piach i pył.

Uwolniła się teraz od niego i zaczęła odchodzić. Jej sylwetka wyraźnie zaznaczała się w świetle wpadającym przez wielkie okna. W rękę trzymała stary harpun. Matthew nie rozumiał, skąd się tam wziął. Po prostu tam leżał. Gotowy do uderzenia. Próbował się podciągnąć, ale na stałe przywarł do sofy.

Tupaarnaq przebiła żelaznym grotem harpuna jego pierś. Po-tem zadała kolejne, jeszcze mocniejsze pchnięcie.

Wydał z siebie wrzask i zamachnął się, wyswobadzając z unieruchamiającej go lawy. Jego klatka piersiowa gwałtownie się wznosiła i opadała. Ręce wędrowały po skórze panicznymi ruchami, które powoli uspokajały się wraz ze świszczącym oddechem.

Ciepło zniknęło. Powróciła zima. Rozejrzał się. Był sam. Nigdzie nie widział Tupaarnaq ani żadnego harpuna.

Zamknął oczy i opadł z powrotem na sofę. Jej skórzane pokrycie wydawało się zimne i sztywne. Nie widział Tupaarnaq od tego wieczoru dziesięć dni temu, kiedy nagle pojawiła się w ciemności jego mieszkania, żeby się z nim kochać. Krótco potem znów zniknęła, a mężczyznę, którego nienawidziła ponad wszystko, znaleziono martwego.

Matthew przecesał dłonią jasne włosy. Skierował wzrok ku krajobrazowi za oknem, gdzie oddychał ciężko Ocean Arktyczny, przenikając zimnem całe miasto. Poczul to z wielką mocą właśnie teraz, gdy zniknęły światło i ciepło ze snu. Był przyzwyczajony do koszmarów nocnych, ale nie o cielesnych zbliżeniach, i to z Tupaarnaq w roli głównej. Dręczące go koszmary z reguły dotyczyły śmierci Tine albo człowieka, do którego zabicia zmusiły go dramatyczne okoliczności.

Nie rozumiał, dlaczego Tupaarnaq przyszła do niego wtedy tylko po to, aby znowu zniknąć. Wiedział, że życie doświadczyło

ją zbyt dotkliwie, aby mogła się z kimś kochać w zwykły sposób. Zatem dlaczego się pojawiła? Miała świadomość, że Matthew wciąż cierpi po śmierci swojej ciężarnej żony i że on także zdaje sobie sprawę, jak bardzo naznaczyły ją lata dzieciństwa, kiedy ją gwałcono. Bardzo chciał, żeby przyszła do niego z miłości. Wydawało mu się, że po śmierci Tine już nigdy nie będzie w stanie doznać bliskości z żadną kobietą. Aż do momentu, gdy poznał Tupaarnaq – a teraz ona również go opuściła. Powinien był pozostać jej przyjacielem, nikim więcej. Tylko że to ona zjawiła się u niego w nocy, to ona popchnęła go na łóżko i usadowiła się na nim.

Ostre światło piekło go w oczy. Słońce widniało nisko nad powierzchnią morza, jego blask intensywnie odbijał się w śniegu. Matthew sięgnął do kieszeni po telefon. 11.30. Nocą nigdy nie potrafił dobrze się wyspać, lepiej wychodziło mu to przed południem; sen, a wraz z nim koszmary, pojawiał się zawsze, kiedy był odpowiednio zmęczony.

Otworzył nową wiadomość od naczelnego gazety. „W pobliżu więzienia morze wyrzuciło na ląd półżywego wieloryba, postrzelonego. Bierzesz to? Daj znać do południa”.

Naczelnny znał go aż za dobrze. „Zgłaszam się – odpisał mu Matthew. – Półżywy wieloryb? Biorę to. Będę tam przed południem”.